

Źle ma się (nasz) kraj

22 maja 2012

Czyli polskie refleksje nad testamentem Tony'go Judta, który swego czasu napisał „Społeczeństwa podzielone skrajną nierównością są też niestabilne.”

Kiedy można rzec, że „źle ma się kraj”? (to udana i adekwatna do sytuacji dzisiejszej Polski moim zdaniem parafraza tytułu bestselleru z 2011 r. anglosaskiego intelektualisty Tony'ego Judta „Źle ma się kraj”). Czy alienacja władzy ze społeczeństwa, elit od „gawiedzi”, merytokracji w stosunku do ludu jest dostatecznym powodem dla takiego stwierdzenia? A czy to jest nad Wisłą i Odrą problem społeczny? Pewnie tak. Ale to efekt określonych decyzji podjętych przez rządzących nami polityków, jak również klimatu medialnego stworzonego przez gros polskiego mainstreamu. Co prawda apogeum arogancji władzy (czy – elity rządzącej Polską) miało miejsce w czasach umownie zwanych IV RP, ale tak prawdę mówiąc to po 1989 r. prawie wszystkie ekipy pracowały usilnie w tym temacie – w przedmiocie rozerwania łączności i typowej alienacji elit od reszty społeczeństwa, w budowie modelu pouczania społeczeństwa ex cathedra przez... No właśnie, przez kogo i z jakiego tytułu?

Stosunek dzisiejszej ekipy rządzącej Polską i Polakami do „ludu” w materii zmian w systemie emerytalnym jest zasadniczym przykładem na arogancję, paternalizm, alienację władzy ze społeczeństwa. To klasyczne potwierdzenie wyżej sformułowanej tezy.

Najlepiej oddaje ów problem – i efekty tego procesu – powiedzenie znakomitego przedstawiciela elit i kontestatora rzeczywistości PRL-u, reżysera K. Kieślowskiego, konkludujące iż „... osiągnęliśmy wszystko, ale widzę iż nasze osiągnięcia zamieniły marzenia w satyrę”. I na pewno – chodzi o kontekst tej wypowiedzi – nie miał On na myśli za przyczynę takiego stanu rzeczy brak sekowania i eliminacji prawdziwych (bądź

rzekomych) komunistów z życia publicznego.

Transformacyjne sprawowanie rządów to przede wszystkim zastosowanie zasady, że ten wygrywa wybory (i ten rządzi) kto ma TV (pośrednio – przychylne media). Równoprawny i partnerski dialog ze społeczeństwem nigdy nie istniał, nie było go, a jak próbowano tę demokratyczną oraz obywatelską zasadę zastosować w praktyce to sprowadzał się on do formy kazania z ambony (tak jak w polskim Kościele katolickim: proboszcz mówi – wierny słucha – zwykła, tutejsza, kultywowana i wynoszona pod niebiosą tradycja). Tym elitom to pasuje – oświecony Pan mówi, ciemny lud słucha. Czysty feudalizm.

Ale przypadków takiego zaprzaństwa, takiego oderwania elity od zamiarów i marzeń ludu, który je wyniósł do władzy zgodnie z nośnymi hasłami głoszonymi przez owe elity (dla owego ludu), takiej hipokryzji, kabotyństwa i faryzeizmu było w dziejach Zachodu bez liku: to w zasadzie – rzecz by można –standard. To nie tylko polska przypadłość i współczesna rzeczywistość. To np. Thomas Jefferson (1743-1826), trzeci Prezydent USA i jeden z twórców Deklaracji Niepodległości (projekt jego autorstwa – został ostatecznie wykreślony – zakładał potępienie niewolnictwa) i jego 200 niewolników (pozostających w poddaństwie do ostatnich godzin życia Jeffersona), a był on przecież fanatycznym zwolennikiem idei Oświecenia i jego podstawowej dewizy „liberte, fraternite, egalite !”: to Jacques-Nicholas Billaud-Varenne (1756-1819) jakobin, lewicowy radykał, zwolennik Robespierre’a i... Termidorian, deputowany do Konwentu i członek Komitetu Ocalenia publicznego, deportowany później do Gujany za ekstremizm. Jak zauważa J. Ziegler („Nienawiść do Zachodu” – szwajcarski dyplomata i publicysta – Billaud-Varenne jako komisarz ds. kolonii kazał gilotynować opornych plantatorów, którzy nie chcieli wyzwolić swych niewolników. Po 1803 roku (przywrócenie niewolnictwa przez Napoleona) zakupił w Gujanie hacjendę Orvillers z wielkimi obszarami pól uprawnych – trzcina cukrowa – by żyć z wyzysku niewolniczej pracy Afrykanów sprowadzonych z Czarnego Lądu

do Nowego Świata (znany był z licznych gwałtów na czarnoskórych kobietach, będących – jak uważał – jego własnością): kolejnym przykładem „... zdrady własnych ideałów może być inny reprezentant Konwentu na Antylach Victor Hughes”. W imieniu Konwentu zmuszał plantatorów do uwalniania niewolników – liczne wyroki śmierci wobec opornych – gdy „jednak Rewolucja upadła, a niewolnictwo zostało przywrócone również Hughes zmienił poglądy. Powrócił na Gwadelupę (...) by kupić posiadłość ziemską z niewolnikami”. Do śmierci – jako arcybogaty haciendado – zarządzał olbrzymim majątkiem i wielką ilością niewolników.

Jak mówi czołowy przedstawiciel liberalizmu europejskiego – w klasycznym stylu – I. Berlin („Dwie koncepcje wolności”), najgorszą niewolą jest paternalizm ... A on zazwyczaj stanowi genezę takich zachowań, takich postaw, takiego myślenia, takiej zaprzańskiej, obłudnej i faryzejskiej elity.

„Wolność jest zawsze wolnością” – pisze T. Judt. Jednak jeśli moja wolność nie zatrzyma się pół kroku przed wolnością drugiego człowieka będziemy mieli do czynienia z nieuzasadnionym wtargnięciem do wnętrza „Innego”, z podeptaniem jego godności. A tą wolnością jest przede wszystkim pluralizm poglądów. Wyznawanych i dostępnych jednostce. Gdzie są (i czy są w ogóle) granice wolności – ten dylemat lewicy z „młodego Marksa” (ale także z F. Engelsa – „Pochodzenie rodziny, własności i państwa”) dotyczy wszystkich uczestników demokratycznego życia publicznego bez względu na zasługi, pozycję i minione intelektualne przewagi. Elity, merytokracja, autorytety, samo dzierżawni i auto-kreatywni rządcy dusz – oni winni wszyscy to bezwzględnie wiedzieć. Zwłaszcza z tytułu i w imię haseł – tych od moralności, etyki, wolności, demokracji, swobód jednostki – które drzewiej głosili owemu ludowi. I które mają niby stanowić rudymenty kultury i cywilizacji Zachodu.

U nas w Polsce miejsce elit wyznaczała zazwyczaj idea „opiekuna społecznego” autorstwa prof. T. Kotarbińskiego –

tyle, że to norma i przypadek tyle co zapomniane jak i skrzętnie dziś przemilczane, z różnych zresztą, najczęściej cynicznych i serwilistycznych, pobudek. Warto do tej idei i pomysłów wybitnego polskiego uczonego sięgnąć. Ale ateizm tak jak i lewicowość są dziś w naszym kraju, wśród owych elit, passe.

I jeszcze raz T. Judt: „Prawdziwy problem przed którym stanęliśmy po roku 1989 nie polega na tym co myśleć o komunizmie. Wizja totalnej organizacji społecznej – fantazja ożywiająca utopistów od Sidneya Webba do Lenina, od Robespierre’a do Le Corbusiera – legła gruzach. Jednak pytanie jak mamy się zorganizować dla wspólnego dobra wciąż pozostaje równie ważna”.

Lekcja która wynika z roku 1989 brzmi następująco: nic nie jest trwałe ani konieczne, nic nie jest nieuniknione i dogmatyczne. To samo więc – jak ideologię komunistyczną – spotka dzisiejsze paradygmaty neoliberalnego chowu i zachłyśnięcie się (jak zawsze u nowo-nawróconych czy konwertytów różnej maści) polskich elit mainstreamowych chicagowską szkołą ekonomiczną (i wszystkim w życiu społecznym co z niej wynika), prostackimi rozwiązaniami organizacji społeczeństwa wyciągniętymi (jak królik z kapelusza prestidigitatora) z torebki Margaret Thatcher czy myślą polityczną o korzeniach hollywoodzkich i z epoki makkartyzmu a’la Ronald Reagan. A są to dogmaty na miarę kościelnych – i na ich miarę są głoszone ludowi jako prawdy niezmiennie (lud jest katolicki od wieków, a na dodatek nie przeszedł klasycznej Reformacji i Oświecenia w stylu zachodnim, tym łacniej jest podatny na taką prostą i bezrefleksyjną argumentację, na takie „pranie mózgów”).

Dziwnie milczą te polskie elity i autorytety moralne, publicyści i spece od pouczania mas wobec clou myśli thatcherystowskiej ideologii mówiącej, że „coś takiego jak społeczeństwo nie istnieje. Istnieją tylko wolne i przedsiębiorcze jednostki oraz rodziny”. Jak związek zawodowy

mógł poprzeć w ogóle taką ideologię, taką politykę społeczną, takie rozwiązania? Zwykła aberracja!

Papież Aleksander VII (1655-1667) podczas audiencji ambasadora hiszpańskiego rzekł doń, iż „...Zły katolik jest zawsze lepszy od dobrego heretyka”. Zupełnie w analogicznym tonie zabrzmiał 350 lat później, nad Wisłą, schlagwort wypowiedziany autorytatywnie przez jedną z czołowych opozycjonistek z czasów PRL-u i prominentną reprezentantkę środowiska tzw. warszawki (czyli środowisk opiniotwórczo-mainstreamowych) Ewę Milewicz, dziennikarkę „Gazety Wyborczej”, a brzmiący „...że lewicy postkomunistycznej w Polsce mniej wolno”.

Jeżeli jednemu – na dodatek posiadającemu mandat wyborczy, mandat ludzi uczestniczących w demokratycznych wyborach, obywateli Polski – wolno mniej, to tym samym innemu można więcej. To proste i jasne przesłanie wynikające z obu, przedzielonych 3,5 wiekami historii, zacytowanych tu, wypowiedzi. To po co się dziś dziwić nad prawicowym i quasi-faszystowskim wiatrem wiejącym przez polską świadomość kiedy tolerowano je dawniej w imię wydumanych korzyści politycznych, pseudo-narodowej jedności bądź anty-komunizmu?

Większość grzechów leżących u istoty patologii i wypaczeń demokracji w III RP, których współcześnie doświadczamy, leży właśnie u źródeł mentalnych tego schlagwortu oraz w cieniu przytoczonej wypowiedzi barokowego i zarazem kontrreformacyjnego (z tymi pojęciami wiążą się nie tylko estetyczno-religijne ozdoby, lecz przede wszystkim niesione przez nie intelektualne, kulturowe, polityczne i społeczne konotacje) Ojca Świętego – streścić je można pokrótce w taki oto sposób: głupi opozycjonista z okresu PRL-u (lub ktokolwiek kwalifikowany do takiej kategorii) jest zawsze lepszy a priori od mądrego komunisty...

To przecież jawny trybalizm plemienny, myślenie klanowe, przed którym przestrzega, który gromi oraz ośmiesza sir K. R. Popper w wiekopomnym dziele – które na pewno Ewa Milewicz i jej

współtowarzysze walki z komuną wielokrotnie studiowali i na nim się wspierali ideowo – zatytułowanym „Społeczeństwo otwarte i jego wrogowie”.

To również jasna antyteza w stosunku do nauk sir K.R.Poppera o korzeniach totalitarnych ideologii europejskich, wywodzących się jego zdaniem z dorobku Platona, Hegla i Marksa.

Żyję dostatecznie długo aby pamiętać czasy poprzedniego, minionego ustroju. Dzisiejsze nastroje społeczne, stosunek ludu do władzy – pod pojęciem „ludu” rozumiem obywateli nie zaliczanych do merytokracji, do pracowników „korporacyjnych”, do menedżerów bądź rekinów biznesu czy bankowości, ale zatrudnionych w hipermarketach, w powstałych w Polsce jak grzyby po deszczu firmach (i firemkach) ochrony, podmiotach gospodarczych zajmujących się sprzątaniami czy będących najpospolitszym outsorsingiem (najszerzej pojętym) – porównać mogę śmiało do atmosfery końca lat 1970.: coś wisi w powietrzu, ale jeszcze nie wiadomo co. Społeczeństwo ponownie o „rządzących” mówi „per” – ONI, a to zapowiada zmiany.

Analogię z okresem PRL-u, zwanym „późnym Gierkiem” widzę osobiście jeszcze w jednym aspekcie – po Euro 2012 należy się spodziewać wielu rozpoczętych i nieskończonych (popularnie mówiąc – „rozgrzebanych”) inwestycji. Środki z UE na EURO się skończą, trzeba będzie spłacać kredyty za inwestycje rozpoczęte etc. To również jakaś paralela z II połową lat 1970. w Polsce.

No i napięty niesłychanie budżet państwa, rozbudowana biurokracja – to wszystko dziwnie przypomina tamte czasy.

Niech tylko nikt nie argumentuje, iż to czasy demokracji, wolności, suwerenności itd. Niech tylko taka osoba popatrzy ilu Polaków uczestniczy każdorazowo w podstawowym akcie demokracji – akcie wyborczym?!

I to jest clou, esencja, sedno współczesnego polskiego życia publicznego. Bardzo złej zresztą jakości. No i tego klimatu

niosącego w sobie zarodniki zasadniczych zmian, znamiona przewartościowań, zapowiedzi przewrotu.

Prawidłowa diagnoza, właściwe opisanie przyczyn takiego stanu rzeczy, dojście do źródeł, a dopiero potem terapia – dekonstrukcja czyli odsłonięcie, do bólu, do bólu – nawet o istocie i dziejach tzw. pierwszej „Solidarności” (1980-1981) jest koniecznością, gdyż każda demitologizacja jest w gruncie ozdrowieńcza. Mówili (i protestowali, ale ich głos nie był dostatecznie słyszalnym) o tych przykrych i wracający dziś nie tylko echem faktach zarówno A. Małachowski jak i J. J. Lipski, reprezentanci lewicy „solidarnościowej”.

Czy w samej tej rewolucyjnej idei i organizacyjno-strukturalnych rozwiązaniach nie było immanentnego anarchizmu, bigoterii, złej dewocji, romantycznego chaosu wiodących społeczeństwo ku manowcom kontrreformacji (ze wszystkimi patologiami z tym związanymi) oraz efektem społeczno-polityczno-historycznym zaszłymi po niej ? Czy to co dziś panuje nad Odrą, Wisłą i Bugiem nie jest formą kontrreformacji i społecznym zarazem regresem ? I dlatego uważam, że „źle ma się (ten) kraj”. I źle mu można wróżyć. Bo czy w kraju nie-oświeconym, religianckim (właśnie w kontrreformacyjnym stylu), zacofanym, z feudalnymi i ciemnymi elitami może istnieć (i zwyciężać – nie tylko wyborczo, ale przede wszystkim mentalnie, kulturowo i programowo) europejska, nowoczesna, świadoma lewica ? Mocno w to należy wątpić.

T. Judt zauważa, że w „czasach złotego wieku kapitalizmu” (lata 1950., 1960. i 1970.) – określenie ukute przez brytyjskiego historyka Erica Hobsbawma („Wiek skrajności”) – debaty toczono w moralizatorskim stylu. „Bezrobocie – najbardziej paląca kwestia w USA, Wlk.Brytanii i Belgii; inflacja – budząca największy lęk w Europie Środkowej; tak niskie ceny produktów rolnych (Włochy i Francja), że zdesperowani rolnicy opuszczali ziemię zasilali szeregi ekstremistycznych partii – to nie były tylko kwestie gospodarcze. Wszyscy od księży po świeckich intelektualistów

widzieli w nich sprawdzian etycznej spójności społeczeństwa". Po prostu wszyscy wierzyli w państwo. Czyli w zbiorowość, kolektyw, wspólnotę.

Dziś to pojęcie uosabia stetryczenie, zapóźnienie, zaścianek i samo zło. Tak przynajmniej tę kwestię arbitralnie i dogmatycznie próbują przedstawić rządzące nami elity.

Ale państwo to zbiorowość, wspólnota, bonum communaie – to nic innego jak MY: naród, społeczeństwo i obywatele. Człowiek uczyłowieczył się z małpy dzięki m.in. społecznemu, kolektywnemu, solidarnemu bytowaniu oraz działaniu. O tym się nad Wisłą i Odrą zapomniało (i o wielu jeszcze rudymencie cywilizacyjno-kulturowych Zachodu) więc dlatego „źle ma się (ten) kraj”.

Autor: Radosław S. Czarnecki

Źródło: [Lewica](#)